



DOBÓR NATURALNY

Stuk, puk – w drzwiach gabinetu pojawiła się Iza. Nie przeszkadzam? – pyta z nieśmiałym uśmiechem. Pamięta, że piątkowym popołudniem chętnie gości witam. Utalentowana doktorantka, potem zaangażowana i lubiana asystentka musiała odejść; szef nie zdołał wyjednać jej etatu, konkursy ogłaszano dla innych.

Wiele miesięcy bezrobotna, odnalazła się na zastępstwie w gimnazjum, po stażu otrzymała kontrakt. Atutem był jej kurs pedagogiczny, doktorat kryła. Wykorzystano jej pedagogiczne pasje: obok własnego przedmiotu uczyła informatyki, zajęć technicznych, organizowała wydarzenia szkolne. Przed rokiem promieniejąca, dziś przyszła zgaszona: na długiej przerwie wezwał ją dyrektor do odbioru wypowiedzenia. Na wypadek, gdyby od września nie miał dla niej etatu. Próbę dyskusji wprawnie uciął: „Inni mają doświadczenie, a ty co potrafisz?”. Argument rozsierdził panią doktor: „Co umiem, jest dla szkoły bez znaczenia. Wiedza, literatura, publikacje, rozprawa, samodzielność, doświadczenie – wszystko na nic?”. Szuka drogi powrotu na uczelnię.

Czy mam jej opowiadać o doktorach, którzy zamiast stąd odejść, usychają? O Ewelinie, informatyce obsługującej studentów, o Annie w sekretariacie, o Macieju spisującym z robotnikami wydziałowy inwentarz, o Jacku wysługującym się na etacie laboranta, o Irenie, która wiele by za etat techniczny dała, wykonując prace na umowie. Mam ją krzepić przykładem Lucyny, która z własnej woli odeszła do szkoły, gdzie po latach znalazła swój żywioł? Wolę opowiedzieć historię Adama.

Poznałem go na konferencji, w grupie doktorantów wyróżniała go śmiałość wypowiedzi i głębokie obycie w literaturze. Zdziwił mnie późniejszą prośbą o recenzję książki, którą stworzył z doktoratu, zdobywając grant. Wydrukowaną przywiózł, wtedy poznałem jego drogę. Szef mamił go etatem, w macierzystym wydziale dano mu wykład, by nie tracił kontaktu; aplikował o fundusze zagraniczne, na sąsiednim wydziale prowadził obcojęzyczne seminarium. Na życie zarabiał w uczelni prywatnej, gdzie dał się poznać jako skuteczny animator aktywności studenckiej. Gdy mu w końcu podziękowano, a wydziałowe konkursy go omijały, rozesłał mail: szukam pracy w Polsce. Poleciałem poważną uczelnię, mieli konkurs, pasował. Przyjęli go na rozmowę o planach, zachęcili do startu, złożył papiery,

a po wakacjach list – woleli swojego. Wtedy sam wypatrzył konkurs w pobliskiej uczelni – znał upatrzoną kandydatkę, czuł się mocny. Chciał działać jawnie, gdy rozmowy mu odmówiono, wtargnął do złotoustego szefa, by się przekonać, że duszna atmosfera go mierzi. Papiery złożył – odpowiedzi się nie doczekał. Pojął, że konkurs to nie współzawodnictwo, tylko interesy.

Trafił się konkurs na młodym wydziale, którego profesor donośnie głosił potrzebę przejrzystości uczelnianych procedur. Rzeczywiście – kandydatów kilku, komisja jawna, rozmowa, krótki wykład na próbę, punktowanie kandydatów. Wygrał rozpoznawalny – z nim jedynym witał się dziekan przed konkursowymi drzwiami. Gdy w kolejnych zawodach przyszło Adamowi przegrać z kandydatem, który nie zdążył na konkurs z obroną doktoratu, już się nie zdziwił.

W przypadkowym spotkaniu poproszono go o pomoc – bliski instytut zdobył zagranicznych studentów i szukał kadry z angielskim. Mieli plan – umowa na semestr, ogłosimy konkurs, napiszemy grant... Złapał przynętę – wykladał po angielsku dla cudzoziemców, opracował sylabusy, napisał grant, zdobył partnerów. Na obiecany konkurs się zgłosił – dziekańska komisja wybrała kandydatkę bez angielskiego. Nie martw się, ogłosimy ponownie. Wolał ośrodek szkoleniowy, który z pomocą fundacji sam w terenie założył. Gdy życzyłem mu powrotu, zdziwił mnie: „Straciłem 4 lata, nadrabiam kursy, zdobywam certyfikaty...”.

Iza słuchała bacznie, na ostatnie słowa uśmiechnęła się blado i z pretensją w głosie zapytała: „Dlaczego w konkursach nie wygrywa najlepszy? Co na to rada?”.

Sprowadzam ją na ziemię: „Przyjęcie nowej osoby to zbyt poważna decyzja, by ją zostawiać radzie; najlepszy kandydat to swój, reszta to formalności”.

Drażyla – „Czyj?”. Wyjaśniam – posada naukowo-dydaktyczna to wprawdzie pieniądze dydaktyczne, lecz cele naukowe. Etat dla grupy trzeba wychodzić w uczelnianych antyszambach, a sukces zależy od konstelacji wydziałowej władzy – wspierając zespół, otwiera drogę kariery. Komu się uda, dopilnuje, by konkurs wygrał upatrzonego wyrobnik, żaden mądrala lub nie daj Boże belfer. Westchnęła markotnie: „Więc tak rozpoczyna akademicki nauczyciel... A co dalej?”.

Wolałem zmilczeć.

PS Głos studenta – „Teraz kariera naukowa to jak kariera w korpo. Te same zasady, a właściwie brak zasad” („Tygodnik Powszechny” nr 12, 2014, s. 17). Czy pocieszyłyby Izę?